

ZDZISŁAW M. RURARZ

# EPITAFIUM LECHA WAŁĘSY

(1)

Długo nie mogłem zdecydować się na napisanie czegokolwiek na temat listopadowych wyborów prezydenckich w Polsce.

Po pierwsze, urząd prezydencki w Polsce, zwłaszcza wylaniany w głosowaniu powszechnym, uważam za zbędny, czemu dałem nawet wyraz na łamach "Dziennika" w dwuczęściowym artykule z kwietnia-maja 1995 r. pt. "Niewydarzony urząd".

Po drugie, pisanie o wyborach bez surowej oceny osoby Lecha Wałęsy jest niemożliwe, a tego chciałem uniknąć.

Niestety, ostatnie dni prezydentury Lecha Wałęsy, kiedy to eksplodował "bomba Oleksego", jak też inne wydarzenia w kraju, sugerujące podział Polski na dwie części, "część patriotyczną" i "część kolegów Aleksandra Kwaśniewskiego", zgodnie z określeniem Jerzego Gwizda z komitetu wyborczego Lecha Wałęsy, zmusiły mnie do zabrania głosu.

W tytule artykułu umieściłem określenie "epitafium" i nie dlatego, że Lecha Wałęsę uważam już za klinicznie i biologicznie zmarłego, ale uważam go za zmarłego politycznie, choć może on jeszcze próbować po-

na osobę Lecha Wałęsy nie można patrzeć inaczej niż na człowieka pozbawionego krzyż samokrytycyzmu i o chorobliwych ambicjach. Jego bowiem prezydentura była przecież niewypałem.

Jeśli jednak Lech Wałęsa piął się do prezydentury na czyjeś polecenie, a potem piastując ją doprowadził do różnych komplikacji w życiu wewnętrznym i zewnętrznym kraju, to zasługuje on tylko na potępienie, a nawet na miano zdrajcy narodu.

Stąd też obiektywna i jednoznaczna ocena Lecha Wałęsy jest na razie niemożliwa, co nie oznacza, że nie należy jej dokonywać bez czekania na dotarcie do różnych tajnych archiwów, które ostatecznie uczynią ją możliwą.

Co do mnie, to tak się akurat złożyło, że z Lechem Wałęsą spotkałem się w życiu trzykrotnie w Tokio w maju 1981 r., kiedy to na czele delegacji "Solidarności" przybył on z oficjalną wizytą do Japonii. Do spotkania doszło z mojej inicjatywy, gdyż centrala w Warszawie ani mi nic takiego nie sugerowała, ani też nie zabraniała, co w praktyce dyplomatycznej oznaczało raczej zignorowa-

łem, że amb. Romuald Spasowski, który o dwa dni wcześniej zwrócił się o azyl polityczny w USA, swoją decyzję motywował głównie faktem uwięzienia Lecha Wałęsy. Mogłem więc uderzyć w ten sam ton, a jednak tego nie uczyniłem. Z drugiej strony nigdy i nigdzie nikomu nie sugerowałem swoich podejrzeń co do osoby Lecha Wałęsy. Prawda, w 1989 r. zacząłem coś niecoś mówić bardziej otwarcie na jego temat, ale też bez stawiania kropki nad "i". Dopiero po tym, jak zaczął on rozbijać się za ściąganiem do kraju Zdzisława Najdera, którego przecież nigdy w życiu przedtem nie spotkałem, jak też obdarzać go wysokimi stanowiskami, podczas gdy na mój list do niego, jako już prezydenta, nie raczył nawet odpowiedzieć, to na jego osobę spojrzałem już innym okiem.

Niemniej jednak, pisząc teraz o Lechu Wałęsie, nie będę kierował się żadnymi plotkami i domysłami, ale będę się trzymał tylko publicznie znanych faktów, choć nie wszystkich oczywiście, gdyż lista ich jest zbyt długa.

Zanim jednak to uczynię, chciałbym do-

Co gorsza, polska klasa robotnicza, podobnie jak w innych krajach "wspólnoty socjalistycznej", a nawet wielu krajach zachodnich, była ponadto poważnie zdemoralizowana. Nie mająca nad sobą bicia bezrobocia i nie ceniąca sobie posiadanej pracy, celowała natomiast w wysuwaniu coraz to nowych roszczeń. Zgoda, robotnicy w PRL mieli niskie płace, ale mierzone wydajnością pracy były one przecież i tak za wysokie. Robotnicy korzystali też na skalę masową z różnych świadczeń społecznych, których nawet nie doceniali.

Tak czy inaczej, stosunek robotników do pracy, poza oczywiście licznymi wyjątkami, był ogólnie lekceważący. Powiedzenie "czy się stoi, czy się leży", oddawało ten stosunek najdobitniej. Masowa absencja w pracy, partactwo w produkcji, pijaństwo i nawet złodziejstwo - były zjawiskiem powszechnym. Robotnicy też, choć latem 1980 r. zaczęto ich raptem idealizować, zbyt mało interesowali się problemami politycznymi i ideologicznymi kraju, a nawet wyznaniowymi, choć w masie swojej byli katolikami. Zupełnie nie orientowali się również w gospodar-

niem Jerzego Gwizdza z komitetu wyborczego Lecha Wałęsy, zmusiły mnie do zabrania głosu.

W tytule artykułu umieściłem określenie "epitafium" i nie dlatego, że Lecha Wałęsę uważam już za klinicznie i biologicznie zmarłego, ale uważam go za zmarłego politycznie, choć może on jeszcze próbować powrócić na scenę polityczną.

W USA, w kraju o najdłuższej historii powszechnie wybieralnych prezydentów, tylko jednemu z 42., Groverowi Clevelandowi, udało się w ub. wieku zostać dwa razy prezydentem po raz już przegranych wyborach po pierwszej swojej kadencji. Również generał Charles De Gaulle po raz drugi został prezydentem Francji po dłuższej przerwie, ale jego powrót na prezydencki fotel trudno uznać za demokratyczny.

Powracając do Lecha Wałęsy, to nie ulega wątpliwości, że na trwale wszedł on już do historii Polski, a nawet powszechnej. Przez ponad piętnaście lat, od momentu wybuchu strajku w stoczni im. Lenina w Gdańsku w dniu 14 sierpnia 1980 r., któremu przewodził, aż do 22 grudnia 1995 r., kiedy to opuścił piastowany przez pięć lat fotel prezydencki, Lech Wałęsa odgrywał ważną rolę w historii Polski, okresowo nawet pierwszoplanową.

Niemniej jednak jednoznaczna ocena tej roli jest jeszcze niemożliwa i nawet nie wiadomo kiedy stanie się możliwa.

Jeśli Lech Wałęsa był autentycznym przywódcą polskich robotników z lata 1980 r., a nawet potencjalnym przywódcą całego narodu polskiego aż do "stanu wojennego", to ocena jego osoby może być w sumie tylko pozytywna. Jeśli jednak Lech Wałęsa rolę swoją grał na czyjś polecenie, to ocena jego może być tylko negatywna.

Potem jednakże, po okresie "stanu wojennego", ocena Lecha Wałęsy komplikuje się niepomierne. Jeśli nawet był on tylko autentycznym przywódcą "Solidarności", ale zapragnął zostać prezydentem kraju, w momencie wyjątkowo historycznie złożonym, to

do mnie, to tak się akurat złożyło, że z Lechem Wałęsą spotkałem się w życiu trzykrotnie w Tokio w maju 1981 r., kiedy to na czele delegacji "Solidarności" przybył on z oficjalną wizytą do Japonii. Do spotkania doszło z mojej inicjatywy, gdyż centrala w Warszawie ani mi nic takiego nie sugerowała, ani też nie zabraniała, co w praktyce dyplomatycznej oznaczało raczej zignorowanie pobytu Lecha Wałęsy w Japonii.

Spotkania z nim poszukiwałem jednak dlatego, że chciałem sobie wyrobić własny pogląd na temat jego osoby, o której coś niecoś słyszałem już przedtem od innych.

Konkretnie mówiąc, o istnieniu Lecha Wałęsy dowiedziałem się już w parę godzin po rozpoczęciu się strajku stoczni gdańskiej, a ponadto dowiedziałem się o nim w miejscu i w sposób, który rzucał na niego poważne podejrzenia. Zresztą, również i potem dowadywałem się o nim też w sposób wcale dla niego nie chwalebny. Niemniej jednak, tego rodzaju wieściom nie dawałem wiary i skoro już trafiała mi się okazja osobistego spotkania go, to postanowiłem z niej skorzystać.

No cóż, nie wchodząc już w różne szczegóły, wrażenia moje z tego spotkania nie były co prawda najlepsze, ale też nie pogłębiły się u mnie podejrzenia co do jego osoby. W miesiąc potem, kiedy byłem służbowo w kraju, spotykając się m.in. z premierem i ministrem obrony gen. Wojciechem Jaruzelskim na półtoragodzinnej rozmowie, przy okazji m.in. referowania pobytu Lecha Wałęsy w Japonii, mój gospodarz zdziwił mnie wybuchem historycznego śmiechu, rzecz u niego nie spotykana, na ile go znałem w przeszłości. Odniosłem wtedy nieprzyjemne wrażenie, że w ten sposób chciał jakby powiedzieć, że "ja już lepiej wiem kim jest Lech Wałęsa i proszę nie próbować aby uświadamiać mnie na jego temat..."

Dlatego też, kiedy uzyskałem azyl polityczny w USA i kiedy po raz pierwszy wystąpiłem publicznie w Kongresie, nazwiska Lecha Wałęsy nie wymieniłem ani razu, choć mówiłem o "stanie wojennym". Co więcej, przecież jeszcze w Tokio wiedzia-

to na jego osobę spoglądałem już innym okiem.

Niemniej jednak, pisząc teraz o Lechu Wałęsie, nie będę kierował się żadnymi plotkami i domysłami, ale będę się trzymał tylko publicznie znanych faktów, choć nie wszystkich oczywiście, gdyż lista ich jest zbyt długa.

Zanim jednak to uczynię, chciałbym dokończyć dygresji.

Otóż "casus Lecha Wałęsy" w najnowszej historii Polski ma głębszy sens niż tylko jego fizyczna osoba.

Konkretnie mówiąc, na pewnym etapie historycznym w Polsce zrodziło się istotnie społeczne zapotrzebowanie na kogoś właśnie w rodzaju Lecha Wałęsy.

PRL bowiem, choćby ze względów ideologicznych, uważała się za "kraj robotników" przede wszystkim, a nawet rządząca nią partia, PZPR, była przeciwieństwem w swej nazwie "partią robotniczą".

Co więcej, tzw. klasa robotnicza, z jej wielkoprzemysłowym jądrem, była istotnie ilościowo siłą w narodzie najliczniejszą, jak też stopień jej organizacji był wyższy od innych klas i warstw społecznych. Robotnicy ponadto, ciągle ze względów ideologicznych, mieli swego rodzaju "wariackie papiery" i tym samym ich wyczyny były bardziej tolerowane, niż wszystkich innych klas i grup społecznych. Prawda, czasem strzelano do nich, masowo aresztowano i na inne sposoby szykanowano, ale "władza ludowa" biła się też przy tej okazji w piersi i przyrzekała, że w przyszłości już tego robić nie będzie...

W rezultacie tego u robotników, wielkich zakładów zwłaszcza, powstało przekonanie jakiegoś uprzywilejowania w narodzie i stąd im właśnie łatwiej było dochodzić swoich praw i pretensji, często nawet w sposób daleki od formalnie praworządny.

Robotnicy jednakże, o czym na ogół nie wiedzieli, byli w PRL klasą schyłkową w dobie IV rewolucji przemysłowej. Produkcja, którą dawali, była droga, jakościowo słaba, niebezpieczna dla środowiska naturalnego i w ogóle bez większej przyszłości.

Wzrosty się stali, czy się teży, oddawało ten stosunek najdobitniej. Masowa absencja w pracy, partactwo w produkcji, pijaństwo i nawet złodziejstwo - były zjawiskiem powszechnym. Robotnicy też, choć latem 1980 r. zaczęto ich raptem idealizować, zbyt mało interesowali się problemami politycznymi i ideologicznymi kraju, a nawet wyznaniowymi, choć w masie swojej byli katolikami. Zupełnie nie orientowali się również w gospodarczym położeniu Polski. Ich stosunek do tych spraw był co najwyżej poważnie uproszczony. Nie było też wśród nich żadnych prób samokształceniowych ani innych wysiłków poznania problemów kraju, w którym byli niby siłą główną. Wiedzę swoją najczęściej zdobywali przed budką z piwem, czy w czasie innych libacji, miejsc pracy nie wyłączając.

Z drugiej strony jest też prawda, zwłaszcza w przypadku górników, że czas pracy robotniczej był często ponad miarę, a praca niezwykle ciężka, choćby ze względu na niski stopień jej mechanizacji oraz automatyzacji, niebezpieczna, a prawie już zawsze źle zorganizowana i niesprawiedliwie wynagradzana.

W efekcie tego wszystkiego robotnicy polscy, swoisty klan w narodzie, byli ze wszystkiego niezadowoleni, jednakże w masie swojej wcale nie dążący do obalenia socjalizmu, a co najwyżej do usunięcia jego licznych wypaczeń. Mówiąc lapidarnie, syndykalizm, mieszczący się w ramach Konstytucji PRL, był wszystkim czego pragnęli, może tylko z transmisją radiową mszy niedzielnej na dodatek...

Inną charakterystyką tego klanu, czego nawet sobie nie uświadamiano w narodzie, była niechęć robotników do wszystkich innych spoza niego. Jak to pokazał właśnie przykład Lecha Wałęsy, robotnicy nie szukali na swoich przywódców żadnych "kryształowych typów", ani współbraci mających jakieś intelektualne ambicje.

Stąd też nie dziwota, że prawie 37-letni Lech Wałęsa, kiedy to stawał na czele strajku w stoczni, był właśnie idealnym typem dla ich przywódcę. Coś tam już dawniej działał na niwie "wolnozwiązkowej", choć nikt nie

## ANALIZY

wiedział gdzie i jak konkretnie, tryskający energią, mówiący kiepską polszczyzną, bez składu i ładu, ale za to zrozumiałą dla braci robotniczej, człowiek z refleksem i poczuciem humoru - Lech Wałęsa od razu "trafił w dziesiątkę" jej oczekiwań. Mając tylko zawodówkę za sobą, a więc nie wybijając się wykształceniem ponad innych, żonaty i dzieciaty, choć chętnie zezujący "na boki", po wojsku, "dobry katolik", nawet z sarmackim wąsem, był on "swoim chłopem" i jemu właśnie zawierano.

Co więcej, w PRL owych czasów dawno już przeminęły tradycje romantycznych zrywów, gdzie najwyższą ich formą była danna krwi własnej. Ośmieszanie całymi latami "bohaterszczyzny" - dało w końcu efekty. Życia na szalę nikt już dawno nie chciał rzucać i gdyby nie nerwowość władz, czy wręcz prowokacje, to prawdopodobnie nie byłoby ani Poznania, ani Wybrzeża, ani żadnych innych krwawych wydarzeń. W narodzie, wśród robotników zwłaszcza, dominowała bowiem dewizja, że "śmierć frajerom", "prawdziwi bohaterowie leżą dwa metry pod ziemią" i temu podobne poglądy, stawiające na przeżycie za wszelką cenę, a nawet na możliwe urządzenie się w każdej sytuacji.

W konsekwencji tego, powiedzmy sobie to szczerze, zrodził się w narodzie autentyczny "kult cwaniactwa", wśród robotników przede wszystkim, a co gorsza - wśród młodzieży także.

Stąd też nie wiadomo co by było, gdyby "władza ludowa" już na początku lipca 1980 r. uderzyła pięścią w stół. A ponieważ nie uderzyła, a nawet jakby podlegała po cichu do różnych wystąpień, to w efekcie powstała sytuacja sprzyjająca eskalacji napięcia, które zawsze stwarza zapotrzebowanie na różnych "trybunach ludowych".

I takim trybunem właśnie, własnego czy czyjeś chowu, został Lech Wałęsa. Został dlatego że po prostu wygrał, albo pozwolił

sizm, choćby ze względu na dość pejoratywne znaczenie określenia "wałęsanie" w języku polskim, stał się po trosze wszystkim co było typowe dla większości robotników, a nawet Polaków w ogóle. Ta "wszystkość", to w końcu nic innego jak swoista bezradność i brak jakiegokolwiek wizji co dalej, jak też zinstytucjonalizowane i prymitywne kunktatorstwo. Zjawisko to pasowało jak ulał do takich znanych później powiedzonek Lecha Wałęsy jak "jestem za, a nawet przeciw" oraz "nie chcę, ale muszę"...

Co gorsza, robotnicy, może nawet ich większość, jeszcze przed "stanem wojennym", serio uważali, że "Lechu ma sposób" na wyjście z beznadziejnej polskiej sytuacji, tylko jeszcze nie sięgnął do niego...

Stąd popularność Lecha Wałęsy, jak też jego "Solidarności", osiągnęły wyżyny pod koniec 1980 r., choć potem zaczęło być gorzej.

"Lechu", rzecz jasna, żadnego sposobu na nic nie miał i nawet nie mógł mieć i kto wie co byłoby dalej, gdyby nie "stan wojenny", który w efekcie zachował "Solidarność" jako jednolitą organizację, gdyż inaczej groził jej rozłam, a nade wszystko zachował nad nią formalne kierownictwo Lecha Wałęsy, rzecz inaczej raczej wątpliwa.

Od "stanu wojennego" jednakże rozpoczyna się następny etap nie tylko historii Polski, ale także samego Lecha Wałęsy.

Przede wszystkim, Lech Wałęsa zachował się w trakcie jego trwania w sposób co najmniej dziwny, a już zapewne niegodny przywódcy wielkiej organizacji, jaką niewątpliwie była w tym czasie "Solidarność". Jak wiadomo, dał się aresztować bez żadnego protestu, przeciw mógł zdobyć się na jakiś akt oporu, który zapewne poszedłby w kraj i świat, a ponadto byłby jego aktywami w przyszłości. Po aresztowaniu odmówił rozmowy z wicepremierem Mieczysławem Rakowskim i jeśli uczynił to tylko z własnej

Wałęsę, ale właśnie jego zaczęto używać do jej wygaszania. W ten sposób zaczął on powracać na scenę dziejową i przeciw nie bez aktywnego w tym udziału władz. Punktem kulminacyjnym tego powrotu, jak wiadomo, było oficjalne spotkanie Kiszczak-Wałęsa w dniu 31 sierpnia 1988 r., co było już zapowiedzią zbliżającego się "okrągłego stołu".

Co więcej, w dniu 30 listopada 1988 r. Lecha Wałęsę pokazano w telewizji przy okazji jego, udanego zresztą, pojedynku słownego z Alfredem Miodowiczem, przywódcą komunistycznego OPZZ. W dniu 18 grudnia zaś władze pozwoliły na utworzenie 119-osobowego Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ "Solidarność", co faktycznie było końcem jej podziemnej działalności i relegalizacją, choć sformalizowanie tego faktu przeciągnęło się nieco. Lechowi Wałęsie pozwolono też na wojaże zagraniczne i w ogóle zaczęto otrząpywać go z kurzu, podobnie jak samą "Solidarność".

I wreszcie przyszedł "okrągły stół" z jego finałem, tj. częściowo wolnymi wyborami w czerwcu 1989 r. do wskrzeszanego Zgromadzenia Narodowego, w którym "Solidarność" zgodziła się wziąć udział na zasadzie mniejszościowej w Sejmie i nieokreślonej ilości mandatów w Senacie.

Wydarzenie to o tyle zasługuje na uwagę, że Lech Wałęsa, przywódca wskrzeszonej "Solidarności" i nowo powstałej "konstruktywnej opozycji", nie kandydował do Zgromadzenia Narodowego. A przecież uzyskałby łatwo mandat poselski lub senatorski, co pozwoliłoby mu grzmieć do woli z trybuny parlamentarnej. Dlaczego nie skorzystał z takiej szansy, czy może też ktoś mu na to nie pozwolił? A może były już wtedy jakieś inne plany wobec jego osoby?

W każdym razie, Lech Wałęsa pozostał poza parlamentem i zadawał się tylko przewodnictwem "Solidarności". Zaraz też po wyborach 22 czerwca 1989 r. zabrał się za

Wkrótce potem, w dniu 25 lipca, doszło do zagadkowego spotkania Jaruzelski-Wałęsa, z którego oficjalna relacja nie jest chyba wiarygodna. Formalnie, Jaruzelski miał zaproponować "Solidarności" udział w rządzie, ale Wałęsa ponoć propozycję odrzucił...

Trzeba też dodać, że jakoś podejrzenie nie spieszo się wtedy z utworzeniem nowego rządu, choć druga i ostatnia tura wyborów do Zgromadzenia Narodowego odbyła się przeciw 18 czerwca. Dopiero 31 lipca klub poselski PZPR, a nawet nie rządząca koalicja PZPR-ZSL-SD, postanowił wysunąć na premiera Kiszczaka, co nawet oburzyło ostatnich dwóch koalicjantów, nie mówiąc już o społeczeństwie.

I oto wtedy, ciągle 31 lipca, Geremek raptem oświadcza, że OKP, "za zgodą" Wałęsy, ale prawdopodobnie bez wiedzy władz "Solidarności", gotów jest do sformowania rządu w jej imieniu...

Co więcej, już tego samego dnia, o dziwo, Moskwa oświadcza oficjalnie, że gotowa jest utrzymywać stosunki "z każdym" rządem polskim!

Teraz już wydarzenia pótoczyły się szybko. Kiszczak nadal "nie mógł" stworzyć rządu, Wałęsa 7 sierpnia 1989 r. zapowiedział stworzenie koalicji "Solidarności" z ZSL i SD, a w dwa dni później koalicja PZPR-ZSL-SD praktycznie się rozpadła. W dniu 14 sierpnia Kiszczak zrezygnował z misji tworzenia rządu, a w dwa dni później, na forum OKP, pełnomocnik Wałęsy, Jarosław Kaczyński, zaproponował w jego imieniu koalicję "Solidarności" z ZSL i SD. W dwa dni później, 18 sierpnia, Wałęsa, podobno tylko z własnej inicjatywy, wyznaczył Tadeusza Mazowieckiego jako kandydata "Solidarności" na premiera, w dzień później stanowisko to akceptuje jej Krajowa Komisja Wykonawcza, Jaruzelski i PZPR nie oponują i 24 sierpnia Sejm powierza mu mis-

dzięży także. Stąd też nie wiadomo co by było, gdyby "władza ludowa" już na początku lipca 1980 r. uderzyła pięścią w stół. A ponieważ nie uderzyła, a nawet jakby podlegała po cichu do różnych wystąpień, to w efekcie powstała sytuacja sprzyjająca eskalacji napięcia, które zawsze stwarza zapotrzebowanie na różnych "trybunów ludowych".

I takim trybunem właśnie, własnego czy czyjś chowu, został Lech Wałęsa. Został dlatego, że po prostu wygrał, albo pozwolono mu wygrać, pierwszą rundę w sporze z władzą, co natychmiast zjednało mu powszechne uznanie. Ludzie zawsze i wszędzie idą za zwycięzcą.

Prawdę mówiąc, do dziś nie wiemy jak potoczyłyby się wydarzenia w Polsce, gdyby nie było Lecha Wałęsy. Nikt bowiem spoza braci robotniczej nigdy i na żadnym etapie nie był wtedy poważnie brany jako jej potencjalny przywódca. Nie mogli nimi być ani Andrzej Gwiazda, Bogdan Borusewicz, Bogdan Lis, Lech Kaczyński, czy nawet Jan Rulowski, gdyż nie byli oni "prawdziwymi robotniczymi", a niektórzy z nich nie pracowali nawet w wielkich zakładach przemysłowych.

Konkurentem dla Lecha Wałęsy nie mogli być nawet sami robotnicy, tacy jak Marian Jurczyk, Władysław Frasyniuk, Zbigniew Bujak, Kazimierz Światoń, czy demagog i awanturnik Andrzej Rozpłochowski.

Nic też dla robotników nie znaczył zażalenie KSS-KOR, ani nikt inny spoza ich klanu, a jeśli już takich nawet jakoś tolerowano, to raczej tylko na stanowiskach doradczych. Nawet Kościół, poza niektórymi duchownymi, mało się tutaj liczył. Na szczeblach kierowniczych rodzącej się "Solidarności", liczyli się przede wszystkim robotnicy.

Innymi słowy mówiąc, Lech Wałęsa musiał się znaleźć na tym zakręcie historii i gdyby go nie było, to trzeba byłoby go wymyślić...

On jednakże, z czego nawet nie zdawał sobie sprawy, dał początek "wałęszizmowi", czyli czemuś w postaci niby ruchu, orientacji polityczno-społecznej, postawy życiowej czy wreszcie zwyczajnego mędrkowania. Wałę-

sa przede wszystkim, Lech Wałęsa zachował się w trakcie jego trwania w sposób co najmniej dziwny, a już zapewne niegodny przywódcy wielkiej organizacji, jaką niewątpliwie była w tym czasie "Solidarność". Jak wiadomo, dał się aresztować bez żadnego protestu, przecież mógł zdobyć się na jakiś akt oporu, który zapewne poszedłby w kraj i świat, a ponadto byłby jego aktywnością w przyszłości. Po aresztowaniu odmówił rozmowy z wicepremierem Mieczysławem Rakowskim i jeśli uczynił to tylko z własnej inicjatywy, to popełnił olbrzymi błąd. Powinien bowiem z Rakowskim spotkać się i zrobić mu o "stan wojenny" wielką awanturę. Na ile znam Rakowskiego to wiem powtórzyłyby wszystko i byłby to kolejny plus dla Wałęsy.

Potem wreszcie, Wałęsa powinien protestować, nawet strajkiem głodowym, żeby go nie trzymano w izolacji od innych przywódców "Solidarności".

Jak wiadomo, nic takiego nie miało miejsca. Wałęsa nie tylko żadnych głodówek nie urządzał, ale za to zajął ile wlezie, zyskując nawet czternaście kilogramów na wadze... Łapał też rybki w Arłamowie, korzystał z długich odwiedzin rodziny, rzecz niespotykana w przypadku innych więźniów, jak też bez przeszkód słuchał Wolnej Europy.

Tak czy inaczej, okres odosobnienia sławy mu nie przyniósł, a natomiast stworzył podstawy do różnych podejrzeń.

I wreszcie, 8 listopada 1982 r., Lech Wałęsa napisał ugrzeczny i dziwny list do gen. Jaruzelskiego, podpisując go "kapral Wałęsa". W sześć dni później zwolniono go bezwarunkowo.

Po powrocie do Gdańska przycichł, choć podobno utrzymywał kontakt z podziemną "Solidarnością", gubiąc nawet inwigilację.

No cóż, są to dziecinne bajki, ale nie to jest nawet najważniejsze.

Sprawą o wiele ważniejszą było bowiem co innego. Otóż od początku 1988 r. zaczęła dziwnie wzbierać fala strajkowa, bynajmniej nie podsycana przez "Solidarność" i Lecha

z struktury opozycji", a w dwa dni później, na forum OKP, pełnomocnik Wałęsy, Jarosław Kaczyński, zaproponował w jego imieniu koalicję "Solidarności" z ZSL i SD. W dwa dni później, 18 sierpnia, Wałęsa, podobno tylko z własnej inicjatywy, wyznaczył Tadeusza Mazowieckiego jako kandydata "Solidarności" na premiera, w dzień później stanowisko to akceptuje jej Krajowa Komisja Wykonawcza, Jaruzelski i PZPR nie oponują i 24 sierpnia Sejm powierza mu misję sformowania rządu, do którego PZPR "zgodziła się" wejść już wcześniej...

Jak wiadomo, 12 września 1989 r. doszło do stworzenia "rządu Mazowieckiego", co było, formalnie rzecz biorąc, wydarzeniem bez precedensu w kilkudziesięcioletniej historii "wspólnoty socjalistycznej". Od tego momentu jednakże, rozwijająca się bardzo dziwnie już wcześniej sytuacja - zaczęła się udziwniać jeszcze bardziej. Tak na przykład, premier Mazowiecki, który powinien być przecież wdzięczny Lechowi Wałęsie za wysunięcie go na to stanowisko, przyjął w swoim gabinecie w dniu 21 września 1989 r. KKW "Solidarności", ale... bez jej przewodniczącego! W tydzień później, czy to z tego czy innego powodu, Lech Wałęsa zapowiedział wycofanie się z życia publicznego i politycznego po najbliższym Zjeździe "Solidarności".

Dziś już wiemy, że tak nie stało się i zamiast takiego wycofania się, Lech Wałęsa został w grudniu 1990 r. prezydentem III RP, która formalnie powstała prawie rok wcześniej.

Co więcej, urzędu tego dobił się w wyborach powszechnych, pierwszych tego rodzaju w historii Polski. Czy wydarzenie to należy przypisać tylko jego własnej inicjatywie, wysiłkom i ambicji, czy też "niewidzialnej ręce", która go latami prowadziła - nie jest jasne do dnia dzisiejszego.

O tym jednakże, jak też o innych sprawach, napiszę w następnych dwóch odcinkach artykułu.

z misji tworzenia rządu, a w dwa dni później, na forum OKP, pełnomocnik Wałęsy, Jarosław Kaczyński, zaproponował w jego imieniu koalicję "Solidarności" z ZSL i SD. W dwa dni później, 18 sierpnia, Wałęsa, podobno tylko z własnej inicjatywy, wyznaczył Tadeusza Mazowieckiego jako kandydata "Solidarności" na premiera, w dzień później stanowisko to akceptuje jej Krajowa Komisja Wykonawcza, Jaruzelski i PZPR nie oponują i 24 sierpnia Sejm powierza mu misję sformowania rządu, do którego PZPR "zgodziła się" wejść już wcześniej...

Jak wiadomo, 12 września 1989 r. doszło do stworzenia "rządu Mazowieckiego", co było, formalnie rzecz biorąc, wydarzeniem bez precedensu w kilkudziesięcioletniej historii "wspólnoty socjalistycznej".

Od tego momentu jednakże, rozwijająca się bardzo dziwnie już wcześniej sytuacja - zaczęła się udziwniać jeszcze bardziej.

Tak na przykład, premier Mazowiecki, który powinien być przecież wdzięczny Lechowi Wałęsie za wysunięcie go na to stanowisko, przyjął w swoim gabinecie w dniu 21 września 1989 r. KKW "Solidarności", ale... bez jej przewodniczącego! W tydzień później, czy to z tego czy innego powodu, Lech Wałęsa zapowiedział wycofanie się z życia publicznego i politycznego po najbliższym Zjeździe "Solidarności".

Dziś już wiemy, że tak nie stało się i zamiast takiego wycofania się, Lech Wałęsa został w grudniu 1990 r. prezydentem III RP, która formalnie powstała prawie rok wcześniej.

Co więcej, urzędu tego dobił się w wyborach powszechnych, pierwszych tego rodzaju w historii Polski.

Czy wydarzenie to należy przypisać tylko jego własnej inicjatywie, wysiłkom i ambicji, czy też "niewidzialnej ręce", która go latami prowadziła - nie jest jasne do dnia dzisiejszego.

O tym jednakże, jak też o innych sprawach, napiszę w następnych dwóch odcinkach artykułu.